

Rośnie wielkie dzieło

Wiele już obchodziliśmy uroczystości, rocznic, byliśmy świadkami wielu ważnych wydarzeń, które stawały się podniętą dla ludzi codziennej pracy. Zarażały ich entuzjazmem, wzmacniały po-

jednym zakładzie, dziś żyje nią całe miasto. Rzucone przez człowieka słowo — wezwanie — potoczyło się dalej, sunie lawina, rozprzestrzenia się, przybierając realny kształt czynu-dzieła, powsta-



Traser Marian Smigielski przyszedł do sekretarza komitetu zakładowego ZISPO... Foto: H. Ignar

czucie obowiązku, — skłaniały do większego wysiłku. Echo żadnego z tych wydarzeń nie wtargnęło z taką siłą do fabrycznych hal, nie poruszyło robotniczych szeregów — jak wieść o II Zjeździe Partii. Nigdy chyba jeszcze myślił tokarzy, frezerów, spawaczy, odlewników, wszystkich ludzi pracy nie były tak mocno za-prątnięte dążeniem do lepszej, oszczędniejszej pracy — jak dziś.

Wsluchajcie się w przyspieszony turkot maszyn, którym tętnią organizmy fabryk, spojrzcie na ogniste strzały błyskawic rozpalaających płomień przedzjazdowego współzawodnictwa. Zajrzyjcie do klubów robotniczych, gdzie pochyleni nad stołem — inżynier i robotnik — głowią się nad rozwiązaniem jeszcze jednego technicznego problemu, który jeszcze bardziej pozwoli człowiekowi wyprzedzić czas, przybliżyć jutro do dnia dzisiejszego. W tej atmosferze nie ma mowy, aby znalazł się człowiek, obywatel, który nie zadałby sobie pytania — co ja zrobiłem i co zrobię na cześć zjazdu?

Pytanie takie postawił sobie traser ZISPO — Marian Smigielski. Odpowiedział na nie piękną inicjatywą — włączeniem się w sztafetę współzawodnictwa przedzjazdowego i wezwaniem do czynu całej załogi ZISPO oraz innych zakładów pracy Poznania.

— Zastanawiałem się nad tym, jakie znaczenie ma w obecnej chwili moje wezwanie — opowiada Marian Smigielski. — Pierwsze, to zjazd naszej partii. W jaki sposób my, robotnicy możemy go powitać? W jaki sposób wyrazić ogrom zaufania do partii, poparcia dla jej programu, zespolenia się z nią? Siła partii tkwi w nas, z nas partia czerpie swą moc. Silna partia i potężna, świadoma swych zadań klasa robotnicza — to socjalizm, to dobrobyt dla nas i dla tych co przyjdą po nas.

Na czyn zjazdowy trzeba patrzeć z innej jeszcze strony.

— Kiedy czytam sprawozdania z konferencji berlińskiej, widzę jasno, że za słowami ministra Mołotowa stoi wola i praca milionów ludzi na całym świecie, stoi między innymi nasz czyn — żywy wyraz zaufania do naszej partii, głos poparcia dla ministra Mołotowa, przemawiającego w naszym imieniu i broniącego również naszych interesów.

Tak ocenia traser Smigielski sens i wartość zainicjowanej w ZISPO sztafety pracy, która rośnie w siłę z każdym dniem, przebiega od zakładu do zakładu, od brygady do brygady, przekazywana jest robotnikowi przez robotnika. Wczoraj mówiono o niej w

Przed 75 rocznicą śmierci R. W. Berwińskiego

O pamięć rewolucyjnego poety Ziemi Wielkopolskiej

A. W. Walczak

Nie wiadomo, czy za trumną Ryszarda Wincentego Berwińskiego szedł choć mały kondukt żałobny. Zmarł w Konstancynie w roku 1879. Złotki złożono w nieznanym dziś miejscu na jednym z konstantynopolińskich cmentarzy. Po kilku latach zsypano kości do małej tumbi, wspólnej dla tego samego „rocznika” zmarłych. 75-lecie śmierci Ryszarda Wincentego Berwińskiego, autora „Opowieści wielkopolskich”, dwu tomików „Poezji” i „Studiów o literaturze ludowej” — nie powinno minąć bez echa, szczególnie w naszym regionie. Jest to bowiem rewolucyjno — demokratyczny poeta Wielkopolski.

Ryszard Berwiński, potomek dawnej rodziny mieszczańskiej z Wolsztyna, urodził się 28. 2. 1819 roku w Polwicy w powiecie średzkim. Ale nie ten, jak by nie było — formalny wygląd jest najważniejszy.

Niedawno, wątpliwie nawet czy z myślą o 75 rocznicy zgonu Berwińskiego, ukazała się „Księga życia i śmierci”, zawierająca szereg najważniejszych utworów poety i poprzedzona pierwszą opracowaną z punktu widzenia marksistowskiej metody badań, oceną jego twórczości. Ze względu na duży autorytet Instytutu Badań Literackich, skąd wyszła praca, a także ze względu na ko-

nieczność kondensacji wniosków w artykule dziennikarskim, podam niektóre sady autorki wstępu M. Janion.

Powiedzmy od razu — mała znajomość i popularność utworów wielkopolskiego poety jest niewspółmierna z pozycją, jaką Berwiński w świetle wysokich ocen badań krytycznych powinien zająć w dziejach postępowej myśli i w literaturze polskiej. Autor „Księgi życia i śmierci”, pisarz, który w dobie ruchów powstańczych 1846 i 1848 działał w kraju, podzielił los tych wszystkich poetów, których przesłoniły wielkie postacie Mickiewicza i Słowackiego.

Krytyka burżuazyjna kierowała się fałszywą tendencją polegającą na tym, żeby twórczość „wieszczów” na emigracji wynosić ponad zasługi pisarzy niższego lotu z jednostronną celową dążnością do pomniejszenia roli i znaczenia literatury krajowej. Na marginesie zepchnięte więc zostały nazwiska R. Zmorskiego, G. Ehrenberga, L. Siemińskiego, W. Wolskiego, K. Ujejskiego, E. Wasilewskiego, J. Borkowskiego, E. Żeligowskiego, A. Grozy, J. Molińskiej-Woykowskiej, A. Bielowskiego, D. Maguszwskiego, M. K. Balińskiego, G. Zielińskiego, T. Le-nartowicza, T. Łady-Zablockiego — w pierwszym rzędzie zaś Ryszarda Berwińskiego, który wśród poetów w kraju w najpełniejszy sposób wyraził ideę rewolucyjnego postępu. Pod niewątpliwym wpływem „pierwszego socjalisty” w Polsce i najbliższego przyjaciela E. Dembowskiego, Berwiński najlepiej wśród wszystkich wyrażał w słowie poetyckim to, co tamten dokumentował w rozległej działalności politycznej.

Obrona Dembowskiego przed obstrukcjami z „Oreodownika Naukowego” — zjednała Ryszardowi Berwińskiemu paszkwilańskie miano „bałamuta”, „szczekacza ulicznego”, „człowieka niedowarzonego”, „nieuka”, „glupca, warchola, szaleńca, fircyka”, „Don Kichota”, „Don Juana” itd. itd. W najlepszym razie wokół jego twórczości roztoczono znowę milczenia.

„Niewielu jest pisarzy w naszych dziejach — pisze M. Janion — którym by na uka burżuazyjna potrafiła wyrzucić równie dojmującą krzywdę”. Należałoby zapytać, jakie to motywy, prócz przynależności Berwińskiego do obozu postępu, wyzwoliły w ówczesnej i późniejszej reakcji taką niepohamowaną złość. Przyczynił

Utwory te, jak i cała twórczość decydują o tym, że musimy przywrócić postać Berwińskiego tradycjom narodowej literatury postępu.

Do odrobienia pod tym względem jest bardzo dużo.

Potrzebom współczesnej wiedzy o literaturze nie może służyć monografia T. Terleckiego („Rodowód poetycki R. W. Berwińskiego”). W dalszym ciągu dotkliwy jest brak wszelkich materiałów źródłowych. Po śmierci poety ze zbioru rękopisów usunięto najbardziej reprezentatywny w całej literaturze polskiej tego okresu wiersz rewolucyjny „Marsz w przyszłość”. Zaginęły również rękopisy niektórych innych utworów, dających najlepszy wyraz przekonom Berwińskiego. Dwa bruliony rękopisów złożone w przededniu ostatniej wojny w Bibliotece Raczyskich w Poznaniu spłonęły prawdopodobnie z innymi bezcennymi pozycjami tego jedynego zbioru. Reszta — listy do rodziny, pamiętniki, portrety, zgineły w czasie powstania warszawskiego w mieszkaniu inż. Bol. Mizerskiego, wnuka ciotecznego poety, troskliwie dbającego do dziś o zachowanie każdej pamiętniki po Berwińskim.

Po wojnie ukazały się w małym wyborze, wspólnie z wierszami S. Goszczyńskiego, niektóre wiersze rewolucyjne Berwińskiego. Wspomniana powyżej „Księga życia i śmierci” (PIW, 1953 r. str. 426) jest pierwszym — niekompletnym jeszcze — wydaniem krytycznym zaopatrzonym we wstęp i przypisy, zawierającym prócz poezji również niektóre utwory prozą, a po raz pierwszy również przedruki artykułów polemicznych Berwińskiego z czasopiśm. Niezależnie od „Księgi życia i śmierci” Państwowy Instytut Wydawniczy przewiduje wydanie dzieł wszystkich.

Spuścizna literacka Berwińskiego nie jest ilościowo duża. Po upadku powstań wulkaniczny temperament poety, nawykły do erupcyjnych wybuchów przygasił, ponieważ zabrakło właściwych podmiotów, jakie stworzyć mógł tylko bojowy ruch postępu, walka o wolność, nie zaś pozytywistyczna, a w gruncie rzeczy oportunistyczna — „praca od podstaw”. Jaką Berwiński obrał drogę, o tym świadczą najlepiej słowa listu A. MICKIEWICZA do Z. Szymanowskiej: „Nie wiem czyście znali Berwińskiego, poe, odwiedzał mnie w Paryżu tego roku, ce-niłem jego pisma... Teraz w o-bozie (w Burgos w Turcji — przyp. wł.) zdrów i krzepki,



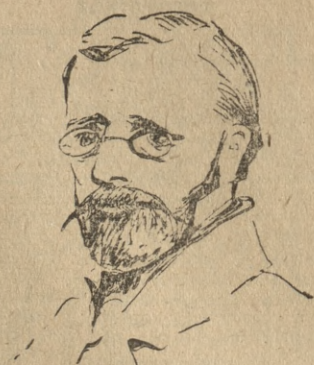
Dom rodzinny — miejsce urodzenia Ryszarda W. Berwińskiego w Polwicy pod Zaniemyślem. Istnieje do dziś. RYS. F. SMIEŁOWSKI

się do tego niewątpliwie — szczególnie w Wielkopolsce — pierwszy raz tak śmiało sformułowany antyklerykalny ton, miażdżąca krytyka stosunków panujących w „polsko-germańsko — arysto — demokratyczno-pańsko — filozoficznie — kapłańskich” sferach arystokracji poznańskiej, groźba „obucha”, „czerwonego morza krwi”, „iskier i wulkanu grozących rewolucyjnym wybuchem. Tonów tych łatwo się doszukać w „Księdze życia i śmierci” — przede wszystkim w: „Marszu w przyszłość”, „Mysiej wieży”, „Ostatniej spowiedzi w starym kościele” a również w „Don Juanie poznańskim” i „Parabazie”.

*) Sformułowanie R. W. Berwińskiego.

dowodzi plutonem i pracuje razem w sztabie, dokucają mu nieco koledzy, że literat, czego on się wypiera. Tak, tu literatura nie popłaca...”

Berwiński bowiem po złożeniu w roku 1854 mandatu w sejmie pruskim wyjechał z Poznania najpierw do Paryża, gdzie poduczył się języka francuskiego, a następnie na Wschód. Słowa Mickiewicza odzwierciedlają jego wrażenia z zetknięcia z Berwińskim w obozie kozaków ottomańskich w Burgos. Berwiński podzielił tragiczny los tych Polaków, którzy pokładali nadzieję we wszelkich perspektywach walki z caratem. Zarzewie to tliło się razczywiście w pobliżu Bosforu, było jednak przejawem walki imperialistycznej o dostęp do cieśnin — a nie walki o wolność



R. W. Berwiński rys. F. Smiełowski

ludów. Polaków w tej walce mamiono tylko urokiem złudnych i nigdy niezrealizowanych obietnic. Z myślą o powrocie do Polski w szeregach legionu polskiego poe Berwiński, lieutenant de dragons, wreszcie major Berwiński tkłł się po różnych obozach na terenie ówczesnej Turcji europejskiej. Droga tułacza, która nie prowadziła do kraju, zawiadła go przez Jamine, Larisse, Saloniki, Warnę, Kossowe Pole, Frykalla i inne nieznane obozy do Konstancynopola.

Okres 24 lat pobytu w Turcji stanowi w badaniach nad życiem Berwińskiego rozdział prawie nieznan. Brak materiałów w badaniach naukowych może się łatwo stać przyczyną różnych pomyłek, których nie ustrzegła się również autorka wstępu do „Księgi życia i śmierci” M. Janion, twierdząc że „Berwiński... nie chciał wrócić do kraju” (str. 72).

Chciałbym sprostować te twierdzenie tym bardziej, że na poparcie odmiennego sądu posiadamy dziś źródło dotychczas niewykorzystane, mianowicie list Berwińskiego z Konstancynopola do Jana Działyńskiego w Kórniku. W liście tym, dotychczas nigdzie nie publikowanym pisze Berwiński:

„...kiedy już tutaj (tzn. w Turcji — przyp. wł.) nie ma do zrobienia dla sprawy, chciałbym powrócić do kraju, gdziebym się może jeszcze mógł na coś przydać. — Ale do uskutecznienia tego zamiaru brakuje mi funduszu na zaspokojenie długów i na koszt podróży. Posiadam wprawdzie manuskrypty, jak sądzę, nie bez wartości, ale te chciałbym, a nawet mógłbym drukować i spieniężać dopiero po powrocie do kraju. — Dla tego udaję się do Ciebie, Szanowny Panie Janie, z prośbą: czy nie byłbyś łaskaw pożyczyc dla mnie na ręce mojej siostry, Pani Mizerskiej, 500 talarów, które ja, po powrocie do kraju i po spieniężeniu moich skryptów, z wdzięcznością oddać Ci się zobowiązuję.

Zrobiłbyś przez to dobry uczynek i dla mnie, dawnego znajomego, któremu byś ułatwił sposobność powrotu na łono rodzinne, a może też poniekąd i dla czytającej naszej publiczności, dla której miałbym wiele ciekawych rzeczy do ogłoszenia o Turcji.”

Wiadomo, że list doszedł do rąk adresata. Sumy potrzebnej na spłacenie długów i opłacenie kosztów podróży antyklerykał Berwiński, zniechęcony w sferach „arysto-kapłańskich” Poznańskiego — od arystokraty Działyńskiego nie otrzymał. Pod niepublikowanym listem widnieje data 11. III. 1873 r. W roku następnym pożar spopielił dorobek pisarski, o którym wspomina Berwiński w liście. Usiłował popełnić samobójstwo... W osamotnieniu i skrajnej nędzy zmarł dnia 19. XI. 1879 r. w szpitalu francuskim.

Wśród niedobitków emigracji, jeśli nawet brali udział w pogrzebie, nie było chyba nikogo, kto by uznał w zmarłym najwybitniejszego w kraju poe lat czterdziestych. W prasie warszawskiej pojawił się krótki nekrolog piera H. Sienkiewicza. W 56 lat po śmierci Berwińskiego jego wnuk zidentyfikował w Konstancynie miejsce, w którym złożono prawdopodobnie w 1883 r. do wspólnej tumbi spopielałe resztki zwłok.

Berwiński nie odzyskał jednak w pamięci potomnych należnego mu miejsca. Należy więc zasygnalizować z początkiem 1954 r. 75 rocznicę śmierci Berwińskiego, by pokolenie, o którym mówił w strofach „Marsza w przyszłość” oceniło właściwie jego twórczy udział w przygotowaniu czasów, które urzeczywistniają jego twórcze marzenia. 75 rocznica śmierci rewolucyjnego demokraty Berwińskiego obchodzona w 10-lecie Polski Ludowej ma więc swój głęboki sens.

Specjalne zadania przypisać należy Wielkopolsce, która w przeszłości rządziej (Ciąg dalszy na str. 3)



W VIETNAMIE imperialiści ponoszą klęskę za klęską

O pamięć rewolucyjnego poety

(Dokończenie ze str. 1)

wspominała o „swoim” poecie, aniżeli czyniły to inne dzielnice.

Jest w miejscu urodzin poety, w Polwicy pod Zaniemysłem murowany dom, pamiętający dzieciństwo „Winia” — młodego Berwińskiego, który stąd często wyrwał się na wieś, by słuchać ulubionych klechd ludowych — „opowieści wielkopolskich”. W domu tym mieści się dziś siedziba zarządu spółdzielni produkcyjnej oraz świetlica gromadzka. W odnowionych ścianach dworcu winny się odbyć tego rodzaju uroczystości ku czci Berwińskiego. Ambicje przygotowania tych uroczystości powinni rozbudzić w sobie działacze oświaty i kultury PRN w Środzie wraz z zarządem gminy zaniemyskiej.

Wszak Berwiński pierwszy swój utwór poświęcił „Kępie Zaniemyskiej”. — W Poznaniu na Starym Rynku w kamienicy pod numerem 77 Ryszard Berwiński konspirował z Dembowskim, Helmanem, Stefanem i innymi demokratami. Poznań winien upamiętnić 75 rocznicę śmierci poety wmurowaniem tablicy w frontową ścianę tej zabytkowej kamienicy.

Oryginalna, silnie powiązana z regionem, twórczość Berwińskiego może zapłodnić plastyków, literatów, winna rozszerzyć badania naukowe polonistów, etnografów i historyków. Towarzystwo Wiedzy Powszechnej, radio, prasa, splecające w nadadkiem przeszłe zaniedbania, mają jedyną okazję, by u powszechnie wiedzy o dziele i życiu Berwińskiego.

W czasie uroczystości 100-lecia bitwy pod Miłostawem Bolesław Bierut wymienił nazwisko Berwińskiego w rzędzie najzasłużniejszych synów naszej ziemi. W dziesiątym roku istnienia państwa ludowego oddajmy z okazji przypadającej 75 rocznicy śmierci Berwińskiego hołd jego wielkiemu zasługom.

A. W. WALCZAK

francuskiego nie pozwala na zakończenie wojny w Vietnamie. Tym drugim jest imperializm amerykański. Przegrawszy w Korei szuka on w Indochinach nowej bazy wypadowej przeciwko Chinom Ludowym. Jest też zainteresowany w eksploatacji surowców strategicznych Vietnamu. Już obecnie trusty amerykańskie, takie jak U. S. Rubber, American Metal & Co, New Marker Making & Co i inne wyciągają z Indochin 89 proc. produkcji kauczuku, 52 proc. produkcji cyny, tungstenu i wolframu.



Tu „jego cesarska mość” — Bao Dai — czuje się w swoim sosie. Zdjęcie z kasyna gry w Hong-Kongu.

Z amerykańskiego polecenia francuscy kolonizatorzy wyciągnęli z lamusa Bao Daia „cesarza nocy” kasetonów, który do tej pory obijał się w lupanarach Hong-Kongu i kasynach Rivier.

Przy użyciu tej marionetki imperialiści amerykańscy chcą wyprzeć z Indochin imperialistów francuskich i przejąć brudną wojnę na własny rachunek.

Jaki może być rezultat tych planów — pokazał przykład Korei. Walczące o wolność narody Azji są silniejsze od amerykańskich dolarów i ich płatnych najemników.

Opracował J. B.

demokratyczna republika wietnamska, którą 9. II. 1950 — uznały kraje demokracji ludowej. Ale imperialiści nie szczędzą wysiłków, by odebrać wolność ludności Vietnamu.

Koszta „brudnej wojny”

Ta wojna kosztuje dotychczas Francję około 300 tys. zabitych, rannych i wziętych do niewoli.

Francuskie wydatki wojenne wynoszą miliard dolarów rocznie. Mimo to w wyniku siedmioletniej walki 90 proc. terytorium Vietnamu zostało wyzwolone spod okupacji.

Ruch narodo-wyzwoleńczy ogarnął masy ludowe Patet Lao i Kambodży. Na wyzwolonych terenach rząd republiki wietnamskiej przeprowadził reformę rolną, prowadził energiczną walkę z analfabetyzmem. Liczba analfabetów z 90 proc. spadła do 40 proc. Zaczęto rozwijać uprawę kukurydzy, soi itp. Na terenach wyzwolonych żywności jest cztery razy tańsza, niż na terenach okupowanych.

„Brudna wojna” — tak nazywa powszechnie wojnę o odebranie wolności narodowi wietnamskiemu ludności Francji. Sytuację Francuzów w Indochinach porównuje się tu z sytuacją hitlerowców we Francji w latach okupacji. Viet-Minh jest wszędzie: i moralnie i fizycznie...

Bilans monopolistów francuskich

Komu więc zależy na przedłużeniu wojny w Vietnamie? Odpowiedź na to pytanie znaleźć możemy w bilansach monopolistów francuskich w Indochinach. Zyski ich z 4 1/2 miliardów franków w r. 1949 wzrosły w r. 1951 do 11 miliardów franków. Ale jest jeszcze inny zainteresowany, który wbrew opinii całego narodu

„Moje dzieci, bardzo was kocham, ponieważ służycie powszechnemu ideałom — rodzinie, ojczyźnie i waszemu Bogu. Przygarniając was do piersi, przygarniam równocześnie wszystkich Indochńczyków” — tak mówił w roku 1945 do dzieci w Gi-Dinh wysoki komisarz Francji, mnich i admirał zarazem d'Argenlieu.

Istniała już wówczas Republika Wietnamska z Ho Szi-Minhem na czele, a Viet-Minh, demokratyczny front walki o niepodległość Vietnamu, uzyskał w wyborach przytłaczającą większość. Słowa d'Argenlieu nie przeszkodziły temu „kapucynowi z gwiazdkami admirałskimi” — jak go nazywała opinia francuska — w niespełna rok później z powodu błędnego incydentu celnego zarządzić bombardowanie miasta Hai-fong, w czasie którego zginęło 6 tys. osób cywilnych. Stało się ono początkiem wojny, toczącej się po dziś dzień.

zwolenczej walki. Od siedmiu lat kruszą sobie zęby imperialiści francuscy i amerykańscy w Indochinach.

Vietnam to kraj niezwykle zasobny

Wnętrze ziemi kryje tu złoża tak poszukiwanych minerałów jak cyna, wolfram, mangan, tungsten, cynk, nikiel. W produkcji rolniczej imperialiści francuscy władający krajem od lat 70-tych ub. stulecia forsowali uprawę ryżu kosztem innych produktów. Przed drugą wojną światową pod uprawę ryżu zajętych było 90 procent ziemi uprawnej i Vietnam należał do największych eksporterów ryżu na świecie.

Równocześnie jednak w samym kraju konsumpcja ryżu na jednego mieszkańca z 260 kg w roku 1900, spadła w 1937 roku do 180 kg.

Imperializm francuski rozwijał eksport kosztem coraz straszliwszej nędzy i głodu mieszkańców kolonii. — Po pierwszej wojnie światowej monopolisci francuscy wprowadzili plantacje drzewa kauczukowego i w roku 1939 Vietnam był czwartym z rzędu na świecie producentem kauczuku.

Prawo towarzystwa „Gorzelnie Indochińskie”

Dochody z tych olbrzymich bogactw płynęły do kieszeni imperialistów. Natomiast ludność tubylcza żyła w skrajnej nędzy. Na skutek lichwiarских pożyczek i otwartej grabieży ziem chłopskich, francuska własność ziemiska w Vietnamie wzrosła w ciągu kilkunastu lat z jedenastu tysięcy do miliona hektarów a równocześnie chłopstwo miejscowe w 50 procentach posiadało poniżej jednego hektara gruntu. Na chłopów tych niezależnie od wyzysku przez monopolistów francuskich nakładano całą masę różnych ciężarów.

Tak np. dla podniesienia zysku towarzystwa „Gorzelnie Indochińskie” wprowadzono obowiązek konsumowania co najmniej 7 litrów alkoholu rocznie na głowę.

W każdej wsi, która nie zakupiła ustalonej ilości alkoholu, mieszkańcy podlegali surowym karom. Jeszcze bardziej niż chłopów wyzyskiwani byli robotnicy rolni i proletariatus przemysłowy.

Lud wietnamski budzi się

W czasie pierwszej wojny światowej imperialiści wysłali do Francji sporo robotników wietnamskich, by zaradzić brakowi siły roboczej. W kontak-



Szef przyjechał... Dyspozytor wojny w Vietnamie, wiceprezydent USA — Nixon kontroluje umocnienia francuskiego korpusu ekspedycyjnego.

cie z proletariatem francuskim robotnicy ci nabierali świadomości klasowej — stawali się świadomymi bojownikami antyimperialistycznymi. Również oddziaływanie Chińskiej Partii Komunistycznej powodowało wzrost świadomości rewolucyjnej proletariatus wietnamskiego. W tym czasie kiedy realizuje swój film Pudowkin, w Vietnamie masy ludowe, kierowane przez klasę robotniczą, podnoszą sztandar walki narodo-wyzwoleńczej.

Po wypędzeniu Japończyków w roku 1945 utworzona zostaje



Familia feudałów z okolic Sajgonu udaje się do miasta. O dalsze utrzymanie takich sposobów podróżowania i wyzyskiwania człowieka toczą imperialiści wojnę w Vietnamie.

To nie, że Sarbinowski podczas wojny trudnił się kłusownictwem. Kto to pamięta. Co było a nie jest nie pisze się w rejestr. Grunt, że jeden z całej wsi jako tako człowiekowi żyć zechciał. Mieszkał się tutaj ni- by spory kawał czasu — zaczął liczyć, wysunął palce: jeden, drugi, trzeci rok — w końcu zniecierpliwiony machnął ręką. A niech tam! W każdym razie siedzi się od dawna, sprzed wojny jeszcze, a ludzie jakoś stronią. Gdyby tak w środku wsi postawił chałupę, jak na ten przykład Sarbinowski, może zjednałby sobie więcej przyjaciół. A tak — co? Pod lasem i pies się nie pokaże. Smutno.

Różnie reaguje człowiek jeśli dostrzeże, że oszukuje samego siebie. Stanisław Karolewicz w takich chwilach zwykle zaczynał kaszleć i niecierpliwie wycierał nos. Gdy schował chustkę do kieszeni, strzelił się, ale tak tylko, powierzchownie, by własnej osoby nie obrazić. Bo najgorzej jeśli sam człowiek dla siebie nie posiada szacunku. Nie dość, że gromada stroni i spogląda wilkiem — a tu jeszcze w domu, we własnym gospodarstwie może się zdarzyć, że podniosą na niego głos i zaczną krzyczeć: żona, dzieci. Posępny tok rozumowania przerwał widok niedużego obójścia. Przy placu, w pośrodku wsi, ukryte za szczelnym płotem z desek. Znad drzew, tuż przy parkanie stojących, w liczbie co najwyżej kilku, wychylał się czerwony, ceglasty szczyt budynku. W głębi obszarza stodół, wozownia, chlew, spichlerz. Ej, nie żle sobie radzi ten Sarbinowski — ma co i do garnka włożyć i obejście nieliczne, choć na oko niby nie szczególnego. Przez chwilę rozglądał się dokoła: nie było nikogo. Wiedział, że spala. Gdzieś tylko poszczekał pies, lub słyszał okrzyki woźniców. Nagle od drogi, wiodącej między opłotkami wyskoczył skrzyp wozu. „Oho, odstawiają zboże”. Odległość do furtki przebiegł kłusem. Sucho pisywały zawiasy. Towarzyszył temu charakterystyczny dźwięk przesuwanego kółka na drucie, jakby ktoś raz po raz strunę

P. Bystrzycki

i pozwolił jej brzmieć. Później jeden, gwałtowny szczelek i skomlający głos łaszącego się psa. Dziewięciohektarowy gospodarz ze Stankowa w powiecie gostyńskim Stanisław Karolewicz poszedł w odwiedziny do 17-hektarowego bogacza Sarbinowskiego.

☆

Zboże przewieźli, gdy było już dobrze po zachodzie słońca. Nie żeby ukrywać. Wcale



nie — każdy we wsi wiedział, że Karolewicz „ten spod lasu” — jak mówiono — nie ma własnej stodoły. Więc gdzie trzymać ziarno? Przecież nie w kopcach na polu. Ale przewieźli raczej tak — na wszelki wypadek. Bo jeżeli oczy nie zobaczą to i serce nie zaboli. Próbowal to później wytłumaczyć pełnomocnikowi dla spraw skupu — nie chwytano. Karolewicz słabo orientował się w mechanice walki klasowej. Nawet tu, na własnym podwórku, w Stankowie. Na zebraniach nie chodził, wymawiał się wiekiem i chorobą. Mieli zresztą na niego sąsiadzi patrzeć wilkiem na tych zebraniach — wołał unikać. Ponieważ jednak chciał być zawsze jakoś w stosunku do siebie uczciwy (ale nie oddał państwu jeszcze ani ziarenka) przynajmniej musiał, że termin „kulak” nie był mu obcy. Nie obce było i to, że wieś mianem tym ochrzciła Sarbinow-

Karolewicz

skiego. Przypomniał mu o tym pełnomocnik. Plan macie spraskawiały — mówił — 4500 kg w życie, to akurat tyle, ile wypada na wasze nieżle pole: tu na miejscu i te 2,75 ha w Siemowie. „Ha, diabły — replikował w myślach — i o tamtych musicie wiedzieć”. Wołał jednak nie zabierać głosu. Lepiej łagodnie — a nuż da się coś utargować. — Nie da się nie utargować — mówił pełnomocnik, jakby zgadywał myśli nie-mego dotąd rozmówcy. Daw-

samego siebie. Gdyby był lepszym psychologiem zrozumiałby, że długotrwałe unikanie ludzi i trwający od lat opór w wykonywaniu elementarnych obowiązków obywatelskich przez rodzinę w kompleksie niechęci do wszystkiego i wszystkich. Kiedyś jeszcze, a było to przed wojną, za życia pierwszej żony, mieszkającej pod lasem zdala od ludzi i ich spraw ciążyło mu serdecznie. Później zbliżył się tylko do Sarbinowskiego, który od czasu do czasu „lubił” — słowa kulaka — ustrzelić z obrzynka co się trafi”. Z cudzego lasu. Mimo swej woli i chęci Karolewicz stał się po części współnikiem tego procederu. Nie szukał wprawdzie razem tropów na śniegu. O nie — kłusownik obchodził się świetnie bez pomocników. Ale pobliski las zawsze wciągał w swoje sprawy, nawet ludzi żyjących tylko z uprawy ziemi. Po woli, lub nie po woli. Sarbinowski wybierając się na „łowy” często zachodził do Karolewicza. Znajomość i przyjaźń, powstała w tych warunkach, przetrwała okupację. Na- zajutrz po wojnie więzy te rozluźniły się trochę, gdy jednak walka klasowa na wsi przybrała na sile, gdy na zebraniach gromadzkich, których — wiadomo — obaj unikali jak ognia, zaczęto mówić o nowej, wyższej formie gospodarowania, gdy padło słowo spółdzielnia produkcyjna, a niedługo później przyszyły planowe dostawy ziemiopłodów dla państwa — trzeba było wybierać. Albo z gromada, tzn. wspólnie z biedniakami i olbrzymią masą średnich gospodarzy, albo z Sarbinowskim. Decyzja zdawała się leżeć jak na dłoni: mieszkanie na uboczu, dość trudny charakter, podeszły wiek, może trochę choroba i jakaś wewnętrzna zacięta niechęć do nauczania się czegośkolwiek od innych, unikany przez ludzi, ale przyjmowany — i chętnie — przez Sarbinowskiego — oto prze-

W głębinie — gdzie gasną kolory tęczy

Znamy powierzchnię morza, jego odpływy i przypływy. Znamy ryby, które rybacy łowią na głębokości kilku lub nawet kilkuset metrów. Lecz co znajduje się głębiej? Jak wygląda nieznaną świat na głębokości tysięcy metrów?

Przypływy, prądy i nawet silne fale dają się odczuć najwyżej na głębokości jakichś 10 m. Łódź podwodna nie odczuwa nawet najstraszniejszej burzy, gdy zanurzy się głębiej. W głębinach morza panuje wieczny spokój. A temperatura? Woda im głę-



Zamiast paszczy — potworna „konstrukcja szkieletu kostnych”. Można by taką rybkę głębinową nazwać — „kościotrupem pelikana”.

biej, tym bardziej staje się chłodna, aż do dna, gdzie stale panuje zimno czterech stopni poniżej zera.

Przez pryzmat wody

Wstąpmy w głębinę morską. Światło stopniowo zanika rozszczepione jak w kolorach tęczy. Najpierw gasną barwy czerwona i pomarańczowa na głębokości około 100 metrów, następnie znikają żółta i zielona na głębokości 300 metrów, wreszcie staje się niewidoczna granatowa i fioletowa na głębokości poniżej 500 do 600 metrów. Mniej więcej od pół kilometra w głąb morza panuje mrok. Głębia morza wynosi przeciętnie 4000 m, a miejscami dosięga 10 tysięcy m.

Jakie jest ciśnienie wody na głębokościach? Zwiększa się ono o 1 kg na każde 10 metrów, czyli na głębokości 1000 metrów, wynosi 100 kg itd. Jak się to dzieje, że człowiek w takiej głębi zginąłby, a ryby poruszają się swobodnie? Odpowiedź jest bardzo prosta. Jak wiemy, ciśnienie krwi u człowieka jest wiel-

sze niż ciśnienie powietrza, pomimo że na 1 cm naszego ciała przypada 1 kg ciśnienia powietrza. To samo dzieje się z rybami i innymi zwierzętami morskimi. Na jakiegokolwiek będą głębinie, ciśnienie wewnątrz ich ciała jest większe niż otaczającej wody.

Zimne światło ryb głębinowych

Dla badań naukowych użyto ostatnio nowych aparatów zwanych batiskopami. Są to ciężkie balony wagi 6 ton, wytrzymałe wielkie ciśnienie i mogące pomieścić jednego lub dwóch obserwatorów. Grubość stalowych ścian wynosi 4 cm. Trzy lampy kwarcowe rzucają światło dookoła. Balon spuszcza się na grubą stalową linie. Specjalna aparatura wewnątrz odnawia powietrze.

Głośny uczoney prof. Piccard spuścił się wraz z synem we wrześniu roku ubiegłego w batiskopie na głębokość 3.150 m. Był to jednak raczej wyczyn techniczno-sportowy. Nauce przyniósł niewiele, a w każdym razie znacznie mniej niż dany sondy oceanograficznych okrętów, wydobywające morską faunę i florę.

Co widział prof. Piccard na tych głębokościach morza? Przede wszystkim żyłtka świecąca jak gwiazdy na ciemnym niebie. Światło wytwarzają ich gruczoły, wydzielające lucyferinę i lucyferazę. Te dwa elementy wzięte oddzielnie są ciemne. W zeknicie — świecą. Następuje utlenienie takie samo jak w naszych lampach naftowych i świecach. Lecz światło z tych istot jest zimne i to stanowi jego przewagę nad tym co mógł wymyślić człowiek.

Niesamowite kształty ryb

Światło rzucające z reflektorów batiskopu odsłoniło zwierzęta



Wielki pysk, a nad nim... antena. Jest to swoista wędka z przynętą. A ciało? — Garbiate.

przedziwnych form. Tak np. ryby o wydłużonych ciałach, co

da się chyba wytłumaczyć nie- ruchomością wody, brakiem prądów i fal. Nie jest to jednak jeszcze ściśle wyjaśnione. Tak np. ryba bekas — Nemichthys ma długi ogon wyciągnięty jak cienki mocny ramię, a paszczę jak dziób opatrzony drobnymi zębami. Inna ryba — pelikan — Eurypharynx — posiada nieproporcjonalnie wielką paszczę, ziejającą jak przepaść, w którą wpadają nawet większe ryby. Inna ryba, jakiej potworna podobiznę podajemy, nazwana Malacosteus, stanowi prawdziwą pułapkę dla zwierząt głębinowodnych.

Dziwy rozmnażania

Rozmnażanie się ryb na wielkich głębinach jest różnorodne. Istnieje 7 rodzajów żyłtek, których samce-karzeki paszują na samkach. Na samkach ryby Ceratias długości 1 metra znalazł dwa małe samce długości tylko 80—85 mm. Obserwacja wykazała, że paszują samiec przyćmiewa się szczęką do skóry samki. Tkanki ich stopniowo rozrastają się i tak zespalają, że nie można odróżnić, gdzie rozpoczynają się tkanki jednego żyłtka, a kończą drugiego. Ponieważ paszcza wrasta w ciało



W takie „usteczka” wpaść może spory, smaczny kęs. Ryba jest leniwa. Otwiera gębowe wrota i czeka na śniadanko, które wpadnie, bez przenośni, prosto do żołądka.

samki, zwierzątko nie może się odżywiać samodzielnie i stopniowo zanika jego przewód pokarmowy, zęby, żebra i nawet — serce. Cały jego organizm odbywa odwrotny proces rozwoju. Pozostaje tylko gruczoł rozrodczy.

Obserwacje życia głębin morza są dopiero w początkach. To co widział prof. Piccard potwierdza badania naukowców w instytutach oceanograficznych. Mało stosunkowo zbadana jest fauna i flora na głębokości 4000 do 10.000 metrów. Nad rozwiązaniem zagadki największych głębin pracują dalej uczeni całego świata.

Opr. Fr. H.

Radzimy sobie wzajemnie

DROGIE CZYTELNICZKI!

Bardzo się cieszę i jestem niesłychanie poruszona. Cztery listy, dwa wieczorki dyskusyjne, awantura z mężem i z ciotką, dziesięciogodzinna migrena — oto bilans ostatnich trzech dni. Jak



na początek nieźle. Hieronim (mój mąż) nazwał moje perypetie „bojowym chrztem”. Nie rozumiem, co Dział Kobiecy ma wspólnego z jakimś bojem i z miejsca wyprosiłam się na przyszłość podobne insynuacje. Hieronim strasznie się zde nerwował i oświadczył, że również wyprasa sobie atakowanie

rodzaju męskiego i wykorzystywanie Działu dla złośliwych wycieczek pod swoim adresem.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie ciotka. Wtrącała się do rozmowy stojąc, jak zwykle, po stronie mego męża. Okropna kobieta. — Zdrzuciła mnie oświadczeniem:

„Zima, polarny mróz, a ty proponujesz sukienkę na sześć różnych okazji. Nie można odrywać się od rzeczywistości. Moim zdaniem, byłoby właściwie — kożuszek na sześć różnych okazji.”

Pogodniejsza atmosfera panowała na wieczorkach dyskusyjnych. Wygłoszono dwa referaty i jeden koreferat. W dyskusji brałam naturalnie głos. Po godzinie poproszono mnie, abym się streszczała. Przewodniczący zwrócił mi uwagę, że poza Działem Kobiecy istnieją jeszcze inne problemy. Ma niewątpliwie rację, ale musiałam jakoś zasignalizować swoje istnienie. Potem były podsumowania i dziesięciogodzinna migrena...

Znużona zasnąłam o trzeciej nad ranem. — Kwadrans później za-

dzwonił telefon. „Nocny” redaktor odnalazł na moim biurku pierwszy list do Działu i uznał za stosowne złożyć mi uroczyste gratulacje. Następnego dnia okazało się, że to zaproszenie na karnawałową zabawę. Wieczorem nadeszły dwa dalsze listy. Hieronim zaproponował otwarcie butelki szampana, ale po zapoznaniu się z treścią kopert, doszliśmy do wniosku, że rachunków za telefon i radio nie wypada oblać.

Dopiero czwarty list okazał się pierwszym. Autorką jego jest Irena K. z ulicy Kraszewskiego w Poznaniu. — „Nasz dział” — pisał Pani Irena: „powinien być praktyczny i atrakcyjny”. Tak, słusznie. Musimy jednak wszystkim nad tym pracować. Nadesłany model fartuszka według pomysłu czasopisma francuskiego — praktyczny i atrakcyjny. Dlatego zamieszczam. Za życzenia serdecznie dziękujemy. Prosimy o dalszą współpracę.

JULIA SEWERYNA

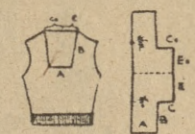
OPIS DO RYSUNKU P. IRENY:

Fartuch z kretonu

lub płócienna, dopasowana do figury zasewkami. Pasek skrojony z całocią. Oryginalnie nalożone szeclerki, zapięte z przodu na guziki. Całość miłutka.

W związku z ciotką i tym kożuskiem, załączam jeszcze model ciepłego sweterka z długimi rękawami. Przed ozdobił paskami w różnych kolorach, ma trapezowe wycięcie, do którego przyczepiamy oddzielnie zrobiony kapturek (patrz rysunek). Boki oznaczone literami C i C1, przyszywane do wykroju szyi, boki E i E1 zeszywane razem. Brzeg kapturki — między gwiazdkami — podszyciła taśmka, w którą wciągnięta jest gumka.

J. S.



Pianowe masy plastyczne

Materiał 20 razy lżejszy od korka

Do budowy samochodów wojskowych lub też szybkich kutrów potrzebny jest materiał, odznaczający się dużą wytrzymałością mechaniczną, a jednocześnie lekkością. Stosowane dotychczas przeróżne metale i masy plastyczne o wysokiej wytrzymałości nie dawały pożądanego efektu, ponieważ wszystkie one posiadały duży ciężar właściwy. W ciągu szeregu lat usiłowano zmniejszyć wagę konstrukcji szybkich samochodów drogą zmniejszenia grubości blachy metalowej. Jednakże powodowało to zmniejszenie sztywności korpusu maszyny i nieraz było przyczyną jej zniszczenia. Rozwiązaniem problemu stworzenia wysokowytrzymałych, a jednocześnie lekkich konstrukcji

stało się możliwe dzięki wynalezieniu przez uczonych radzieckich nowego materiału — pianowych mas plastycznych.

Pianowe masy plastyczne są najlżejszym ze wszystkich znanych. Metr sześcienny tych mas waży od 15 do 150 kg. Oznacza to, że są one 50—500 razy lżejsze od stali, 7—70 razy lżejsze od wody, 5—50 razy lżejsze od drewna i 1,5—20 razy lżejsze od korka.

Zewnętrznym wyglądem przypominają one zastępy piany, składające się z drobnych, okrągłych komórek wypełnionych gazem. Zasada przygotowywania mas plastycznych polega na tym, że roztopioną smolę syntetyczną nasyca się pod wysokim ciśnieniem różnymi gazami, powstającymi w drodze rozkładu określonych substancji chemicznych. Przy powolnym nagrzewaniu do temperatury 90—120° C., gazy rozszerzają się i, spieniając masę plastyczną, tworzą jej strukturę komórkową.

ROZNOODNIE WŁAŚCIWOŚCI

Niektóre rodzaje mas plastycznych otrzymuje się przy normalnym ciśnieniu w drodze spieniania smolistych substancji przy pomocy powietrza lub innych gazów. Aby piany szybko twardniała dodaje się do niej specjalne składniki, po czym rozlewa się ją w formy, w których zasycha. W tych pianowych masach plastycznych, oprócz zamkniętych pęcherzyków powietrza lub gazu, powstaje również znaczna ilość otwartych, połączonych ze sobą porów, wskutek czego materiał taki może stać się łatwo przenikalny dla pary wodnej i gazów.

Wobec wielkiej różnorodności smół syntetycznych i wielu sposobów przygotowywania pianowych mas plastycznych ich właściwości są bardzo różnorodne. Jedną z nich są twarde jak szkło, inne — elastyczne jak guma. — Twarde pianowe masy plastyczne odznaczają się odpornością na działanie wody, są przeciwnie — nieprzenikliwe dla pary wodnej i gazu. Dobrze pływają po powierzchni wody, poza tym są dobrymi izolatorami dla elektryczności, ciepła i dźwięku. Materiały te mogą być stosowane w temperaturach od minus 80 do plus 70° C. Radziecki przemysł produkuje też inny typ

mas plastycznych, wytrzymałych nagrzewanie do 150—200° C.

OBROBIANIE PRZY POMOCY NARZĘDZI STOLARSKICH

Niemal wszystkie pianowe masy plastyczne można obrabiać przy pomocy zwykłych narzędzi stolarskich; łatwo im nadawać dowolny kształt. Doskonale dają się one sklejać, zarówno z metalami, jak i materiałami niemetalicznymi.

Pianowe masy plastyczne mogą być stosowane w najróżniejszych gałęziach przemysłu. Gdy np. sklejmy sztywną pianową masę plastyczną z dwoma arkuszami blachy stalowej lub żelaznej otrzymujemy wysoce wytrzymały trójwarstwowy materiał konstrukcyjny, odznaczający się wielką sztywnością, a zarazem lekkością.

Wyroby z takiego materiału nie toną w wodzie, są nieprzenikliwe dla ciepła i dźwięku. Dlatego też te trójwarstwowe konstrukcje mają wielkie znaczenie w budowie samochodów i statków.

Miekkie, elastyczne pianowe masy plastyczne są dobrym materiałem do wyrobu lekkich mebli i wielu innych przedmiotów powszechnego użytku (obuwie, zabawki, gabki itd.).

DOSKONAŁE ISOLATORY

Pianowe masy plastyczne są najlepszymi izolatorami cieplnymi, dlatego też używane są przy budowie wagonów — chłodni, lodówek i wszelkich innych instalacji chłodniczych. Obecnie opracowuje się nowe typy tych mas plastycznych, które znajdują szerokie zastosowanie jako izolacja cieplna w budownictwie mieszkaniowym. Elektroizolacyjne właściwości pianowych mas plastycznych pozwalają stosować je z powodzeniem w radiotechnice.

Nie tonące w wodzie masy plastyczne nie tracą swych właściwości nawet przy uszkodzeniach mechanicznych. Lżejsze od korka i posiadające wielką nośność (700—900 kg na m³), nie nasakają one podczas długotrwałego przebywania w wodzie, nie butwieją i nie kruszą się.

Dzięki temu znajdują szerokie zastosowanie w rybołówstwie, gdzie używane są do wyrobu pływaków do sieci, przy budowie statków, a także przy wyrobie środków ratunkowych i sprzętu używanego przy przeprawach przez rzekę.

znalazł drogę

Opowiadanie

ślanki wypadków, które rozebrały się w czasach nam już najbliższych.

Rozmowa z pełnomocnikiem skupu nie dała rezultatu. Karolewicz wyszedł z niej nie przekonany, ale z głęboką zachwianą wiarą we własną uczciwość. „Teraz to już wszystko mi jedno — dokończył w myśli tok wywodów pełnomocnika. Nie oddam ani ziarenka. Wy-marzł, wysuszyło i tyle. Zresztą Sarbinowski dobrze przykrył słomą. Może nie znajdą”. I wtedy zaczęła działać gromada.

Wypadki opisane poniżej potoczyły się z piorunującą szybkością. Na „placu boju” nie było korespondenta wojennego — to prawda, ale szczegółowa relacja Sołtysa Stankowa — Jana Bladochy, usłyszana na dwa tygodnie później przywróciła zdarzeniom właściwą barwę i rzeczywiste wymiary. Czas nie zatarł szczegółów, nie działał jak morze na nadbrzeżne skały — nie rzeźbił, nie zakręgał. W gostyńskim Powiatowym Komitecie Partii mówiono po prostu: to klasyczny przykład. — Karolewicz społecznie i moralnie był poza gromadą nie od dzisiaj, ale miał drogę powrotu. Czy jeszcze dzisiaj ma, pokazał wypadek, który już się zbliżał. Wtedy nie miał w każdym razie tej szczytnej zaufania u ludzi, tak potrzebnej mieszkańcom gromady. Stwierdził to dawniej, podczas częstych odwiedzin Sarbinowskiego.

We wsi jak w rodzinie, wszyscy wszystkim znajomi. Jeżeli się mieszka tak długo jak on — nie trudno przypomnieć sobie dziadków, ojców i synów. Na jego oczach rodzili się, a w każdym razie dorastali ci młodzieńcy, co ot — stoją tam przy ulicy drogi na środkowym placu gromady. Czy widzieli, że nikt na niego nie patrzy, odwracają uśmiechnięte twarze, omawiają zapalczywie jakieś

swoje sprawy. Jego dzieci też mu jakoś nieprzychylnie — przypomnieli sobie. Dawniej tego nie widział, albo po prostu nie zauważał. Dobre miał dzieciaki — to prawda, przyznawał z rozczuleniem. Szanowały ojca, nie pozwalały mu pracować, same robiły za niego i siebie. Dlatego nawet w żniwa, gdy ludziom we wsi dlonie pękały od roboty, Karolewicz miał sporo czasu. Dla siebie i dla własnych myśli. Kronikarzowi nie dane jest wnikać w tajemnicę co robił w owych dniach. Może obliczał plony, może umyślał ile też państwu trzeba będzie odstawić, a może martwił się swoją chorobą, która zapewne okazałaby się nie tak groźna, gdyby nie gryząca świadomość osamotnienia. Jeszcze z początkiem lipca chodził po swojej miedzy i patrzył na falujące z wiatrem kłosa. Żył wtedy najlepszą chęcią. Wywiązać się ze swoich obowiązków, zbliżyć do ludzi, oddalić od tego że środka wsi — taki ustalał program. Ale przyszło wie powiada, że wilka ciągnie do lasu. Kłusownika też. Z Sarbinowskim zachodził do Karolewicza. Niby na las popatrzeć, zanurzyć się w gąszczu, posłyszć jak szumią drzewa, „bo wiecie — mawiał sentymentalnie — człowiek przywykł, rozumiecie, przywykł i tyle”. Bogacz nie wyjawiał do czego przywykł człowiek, ale Karolewicz i tak rozumiał. Nawet nie domyślał się, po prostu wiedział. Później rozmawiali o innych sprawach. Po tych debatach bohater nasz czuł się jeszcze bardziej pozostawiony sam sobie.

Tak też się jakoś złożyło, że bogacz był u niego zanim zaszedł pełnomocnik skupu z prośbą i namowami. I dlatego nie przekonał. Pewnie się nawet minęli na drodze, chyba że Sarbinowski swoim zwyczajem poszedł w przeciwnym kierunku „posłyszć jak szumią drzewa”.

W tej chwili minął zamkniętą grupkę młodzieży i skręcając w prawo chciał pchnąć skrzypiącą furtkę zabudowań Sarbinowskiego. „Nie, tym razem ja do niego nie pójdę — jeśli ma interes to niech on do mnie” — zadecydował w mgnieniu oka. Odwrócił się, spojrzał jeszcze na ceglasty szczyt mieszkalki-budynku, i drogą lekko opadającą w dół ponownie minął stale mleczącą młodzież. W oplotkach natknął się na sołtysa. Rozmowa w domu kierownika spraw gromadzkich trwała długo.

Sołtys przekonywał: — Człowieku, nie stawaj deba jak narowisty koń. Oddaj państwu co się należy. Podatek gruntowy zapłaciłeś — wiem, nie przerywaj, ale zalegasz z mlekiem i żywcem, a już najgorzej to w ziarnie. Patrz! Inne gromady dawno skończyły ze zbożowym planem, a my przez ciebie i tego



— no znasz go dobrze, nie zaprzeczaj — Sarbinowskiego wlecemy się w ognie dostawcy. Wstyd! Zresztą pomożemy ci, bo może sam nie podołasz. Gromada postanowiła działać. Weźmiemy młodych chłopaków, ZMP-owców, twoje córki ich znają, i wymłócimy co się da, przez to i ty będziesz miał lżej, i państwu pomożemy. Moja w tym głowa, aby wszystko poszło jak najlepiej.

Na te propozycje Karolewicz nie nie odpowiedział. Cóż miał mówić. Widział dobrą wolę ludzi, której należało się uczepić, jak ostatniej deski ratunku, by

uzyskać zaufanie gromady i odbudować wiarę do samego siebie. Chociaż on nie pamiętał o innych, ci inni wyszli mu z przyjaźni wyciągnięta dłoń, więcej niż na pół drogi.

Młocka odbyła się na podwórku Sarbinowskiego — donosi korespondent z „placu boju” (dodajmy: boju o chwilę na duszę średniaka). W mroźny grudniowy dzień. Trwała od 8 rana do 16. W pracy uczestniczyli Zofia Przybylak, Cecylia Małutkiewicz, Maria Szymkowiak, Władysław Olejnik i Bogdan Kowalik. Pies nie straszyl łańcuchem, ktoś go przywiązał do budy. Karolewicz przyszedł gdy akcja była w pełnym toku. Przy długobijącej maszynie uwijali się ci sami młodzi chłopcy i dziewczęta, których przed dwoma dniami spotkał na placu kuśśrodku wiejskich zabudowań.

Tamta rozmowa z sołtyssem dała mu dużo materiału do rozmyślań — nie spał dwie noce. Za to w tej chwili nie kaszlał i nie wyciągał chusteczki z kieszeni, mimo, że kurz z maszyny unosił się wokół i zacierał kontury uwijających się młodych postaci.

— Wujku Karolewiczu — usłyszał w pewnej chwili dziewczęcy głos. Z chmury pyłu wyrzuciła się Zoska Przybylak.

— Nie się nie martwie — mówiła głosem przyspieszonym od wysiłku — wszystko pójdzie dobrze...

„Pójdzie dobrze...”. Coś go chwyciło za gardło, jak wówczas, gdy z rozczuleniem rozmyślał o swoich dorastających córkach. To przecież koleżanka mojej najstarszej — pomyślał jeszcze — i tknięty myślą spogląda w prawo, w kierunku drzwi wejściowych domu Sarbinowskiego. Bogacz stoi na progu i miękkiem gestem dłoni zaprasza do środka. Uśmiecha się przyniemiennie, jak zwykle, gdy rozmawiał o dobrym powietrzu wśród lasu.

Karolewicz chwile się przez moment na nogach, po czym odwraca się plecami do zapraszającego gestu i idzie wolno w kierunku furtki o nienaolwionych zawiasach...



Z WYSTAWY PRAC POSTĘPOWYCH ARTYSTÓW PLASTYKÓW W WARSZAWIE

Na zdjęciu: „Dzieci brazylijskie tak żyją” — Renina Kotz (Brazylia).



Mr. Taylor zaciska szczęki

Znamy go ze zdjęć, z komunikatów prasowych w roku 1946. Wówczas to mówił jako oskarżyciel na jednym z procesów zbrodniarzy wojennych:

„Wysocy sędziowie! Długi i straszny był proces norymberski. Zakończył się on ukaraniem głównych przestępców wojennych, lecz ujawnił równocześnie, że nie tylko sami zwolennicy rasizmu, balwochwalczy Hitlera i Rosenberga ponosili winę... Dziś, gdy rozpatrujemy sprawę współwinników hitlerizmu, wielkich monopolistów niemieckich, wypadła nam sięgnąć jeszcze głębiej — do korzeni zbrodni przeciw ludzkości. To właśnie ukazuje dzisiejszy proces I. G. Farbenindustrie. Producent cyklo-
nu, trucizn, gazów trujących, materiałów wybuchowych należeli do najniebezpieczniejszych podpalaczy. Oni to właśnie dali szaleńcowi zapalnik do rak. Ludzkość i naród amerykański, w którego imieniu dyrektorów I.G. Farben oskarżam, domaga się surowej kary dla winnych, domaga się wyciągnięcia konsekwencji w stosunku do wszystkich, którzy pomogli Hitlerowi w dojściu do władzy, choćby nawet nie mieszkali w Europie...”

Oskarżonymi byli dyrektorzy I. G. Farben.

Następnego dnia jeden z nich odwiedził pewnego SENATORA amerykańskiego, który przyjechał zaprowadzić w Europie amerykański „porządek”.

Senator siedział w głębokim fotelu, trzymając nogi na biurku. Zadzwoił telefon.

— Yes, Yes, proszę wprowadzić — rzucił w słuchawkę, a wchodzącego dyrektora I. G. Farben powitał jowialnie: — Good morning, przyjacielu, zdamy się przecieć.

— Jawohl. Spotkałem pana senatora, bodaj w Lozannie, w roku 1942. Rozmawialiśmy o obrótach naszych towarzystw.

— Pan ma dobrą pamięć.

— A Wasz koncern krótka.

— Skąd takie oskarżenie, mister? Yes, Pan się bardziej gorączkuje, niż nasz prokurator.

— Panie senatorze, tak się nie postępuje ze współwinnikami. Robiliśmy przecież dobre interesy.

— Yes. To był niegorszy business. Ha! Ha! Ha! Tymko trochę przesadziliście z tym cyklo-nem. Nie, nie mówię, że był to zły twar. Wszystko było all right, w

Jacek Milczewski

najlepszym gatunku, ale boys... natruliście za dużo.

— Polityka, co innego. Rozliczaliśmy się rzetelnie.

— Yes.

— I teraz współwinników stawiać przed sąd. Wolaliby pan chyba, bym nie był zmuszony do ujawnienia wszystkiego, co łączy

lo nas z amerykańskim koncernem Dupont de Nemour.

— Na to się... — głos senatora zasyczał złością — żaden głupiec nie odważy.

— Ale wasz... amerykański oskarżyciel, prokurator Taylor już się dogrzebał niektórych szczegółów, już robi zupełnie wyraźne aluzje. Dobrze, że jeszcze mogą odpowiadać z wolnej stopy, ale nie jest dla nikogo tajemnicą, że Taylor zażądał w akcie oskarżenia dziesięciu lat więzienia.

Senator zaśmiał się głośno

— Dziwi mnie pański śmiech — wycedził chłodno dyrektor IG Farben.

— All right. — Senator wstał z fotela. — Więc niech pan usłyszy, że sprawa IG Farben nie zostanie zakończona jakimś głupim procesem z mr. Taylorem jako oskarżycielem...

No, i trzeba przyznać, że pan SENATOR wiedział co mówi.

Wszystko załatwiono „all right”. Także sprawa mr. Taylora znalazła swój „antyamerykański” finał.

Pan senator wygłosił bowiem w grudniu 1953 roku przemówienie na posiedzeniu pewnej komisji kongresu, która jest szczególnie głośna, choć nie konieczna sławna. Oto w skróceniu

przebieg tego posiedzenia, w jego końcowym fragmencie. Przemawiał SENATOR:

— Yes, mister! United States of America, to wolny świat, gdzie każdy może się wykazać inicjatywą. Mr. Truman handlował szelkami, a został prezydentem, mr. Ford sprzedawał gazety, a dzisiaj jest milionerem. Każdy może robić w nacje, samochodach, stali, bombie atomowej — w czym chce, jeśli potrafi zdobyć dolary. Kiedy szelki zaprowadzą go na fotel prezydenta, to znaczy zrobił niezły business na szelkach. To jest amerykańska wolność. A pan, mr. Taylor?

— Ja oskarżałem o mordowanie ludzi, fabrykowanie materiałów wybuchowych, trucizn i gazów. Dowody procesu mówiły wyraźnie o powołaniu IG Farben z koncernem...

— Dość! — wykrzyknął senator. — Nie będzie pan uprawiał czerwonej propagandy przed komisją do badania działalności antyamerykańskiej. Pan sądzi, mr. Taylor, że businessman, który w swej fabryce produkuje noże, trzeba postawić przed sąd, dlatego, że gangsterzy innych tymi nożami porznięli?

— Produkcja cyklo-nu była ludobójstwem.

— Pan sobie szkodzi, mr. Taylor, swoim zachowaniem.

— W roku 1945 widziałem stopy ludzi zatrutych cyklo-nem z fabryki IG Farben. Fabryki te należały również do amerykańskich miliardów.

Senator poczerwieniał.

— I to pan chce wmówić wolności narodowi amerykańskiemu? Takie bajeczki niech pan opowiada za żelazną kurtyną. Jest pan bardziej czerwonym, mr. Taylor, od samego Marksa. Pan był antyamerykaninem już w 1946 roku, jako prokurator w Norymberdze. Pan chciał oskarżać rzetelnego koncern amerykański Dupont de Nemour, który daje 10 procent dywidendy, a w roku 1942 dał 15 procent. Yes mister! Akcje naszego koncernu notują na giełdzie nowojorskiej 180 za 100 dolarów. Demokracja amerykańska nie dopuści, by pan przeszkadzał jej wolności. My w United States of America bijemy przecież rekord światowy w demokracji już od czasów Waszyngtona...

Mr. Taylor zacisnął szczęki.

nie spieszyło? Robić, ale jak robić? Tego się nie robi na kolanie! W ogóle nie rozumiem czemu pan się unosi. Od ośmiu lat współpracujemy zgodnie nad odbudową Ratusza, a teraz nagle... I możemy pracować jeszcze osiem, tylko trzeba nerwy trzymać na wodzy. Jaki

— Stać! — wołał do tubki.

— Przerwać malowanie, z miejsca, zaraz! Mówi konserwator Suszarek z komisji przy spieszenia odbudowy Ratusza. Całkowita zmiana sytuacji. Mam w ręku... Drobiazg, chodzi o rzeczy ważniejsze. To jest perła renesansu, trzeba z pietyzmem! Zawołajcie inżyniera Powolnego, ale szybko. Inżynier? Dzień dobry. Tak, kazałem przerwać. Chodzi o salę Półpiętrową. W świetle nowszych dokumentów, to jest starszych... przed chwilą odkryłem, prawdziwe szczęście...

W tym miejscu małżonka konserwatora, pani Klementyna, zdołała wtargnąć jedno słowo:

— Ernieście!

Konserwator zasłonił błyskawicznie ręką tubkę, do której mówił.

— Tsss... kobieto! Mam ważną rozmowę, jak możesz!

Wobec tego pani Klementyna rzuciła trzymaną w ręku świstek papieru do kosza, mrużąc pogodnie (nic jej nigdy nie potrafiło wytrącić z równowagi):

— Teraz „jak możesz”, a potem wieczne pretensje, że wyrzucam ważne papiery do śmieci.

Po tym szczęśliwym zaszeregowaniu mężowskiej uwagi do serii właściwych mu nielogiczności, pani Klementyna odeszła, bardzo z siebie kontenta. Tymczasem jej mąż telefonował dalej:

— Przepraszam, żona mi przeszkodziła. Co pan mówił? Że ta sala była już sześć razy przemalowywana? W gorącej wodzie pan kapany, inżynierze Powolny. A jak czekaliśmy pół roku aż przysłacie hydraulików, to dobrze, wtedy wam się

Artos raz do roku słynie z wesołości. „Barwa” pierze szybko — lecz dla potomności. Cnota niekoniecznie cechą jest niewiasty. Dziwak tylko szuka dziś brązowej pasty. Entuzjazm sportowy ceny wiele osób. Futro można kupić. Ale w jaki sposób. Groch z kapustą lubi rosnąć w Kwaterniku. Hotele są często powodem frasunku. Indeks dla studenta to producent trwogi. Jak dożyć — wstąpię w Okraglaka proggi. Kogut bez wigoru kury nie rozmarza. Lij mu! — Na zabawach krzyczą u „Drukarza”. Łeb mieć trzeba twardy i siłę — przed kinem. Mam wciąż premię w biurze — szef jest mym kuzy-nem.

Noże ze stołówką często są w kolidzi. Operę chcesz widzieć? — Czekaj telewizji. Pracować nie lubią wampy i pijacy. Rękaw jeden dłuższy — to „Wspólnota Pracy”. Satyra ugory drwiną swoją orze. Tramwaj. Stary problem. Nic tu nie pomoże. Urok wiersza poznasz nie tylko po rymie. „W-Z” chcę odwiedzić — i znikł mi gdzieś w dymie. Z radia podkpiwanie — temat to ograny. Żarówka szukałeś? — Czekaj na bociany.

Na sam wreszcie koniec rady się dowiedzie: Nie uczcie swych dzieci na tym alfabcie!

Włodzimierz Scisłowski

Abecadło poznaskie

Artos raz do roku słynie z wesołości. „Barwa” pierze szybko — lecz dla potomności. Cnota niekoniecznie cechą jest niewiasty. Dziwak tylko szuka dziś brązowej pasty. Entuzjazm sportowy ceny wiele osób. Futro można kupić. Ale w jaki sposób. Groch z kapustą lubi rosnąć w Kwaterniku. Hotele są często powodem frasunku. Indeks dla studenta to producent trwogi. Jak dożyć — wstąpię w Okraglaka proggi. Kogut bez wigoru kury nie rozmarza. Lij mu! — Na zabawach krzyczą u „Drukarza”. Łeb mieć trzeba twardy i siłę — przed kinem. Mam wciąż premię w biurze — szef jest mym kuzy-nem.

Noże ze stołówką często są w kolidzi. Operę chcesz widzieć? — Czekaj telewizji. Pracować nie lubią wampy i pijacy. Rękaw jeden dłuższy — to „Wspólnota Pracy”. Satyra ugory drwiną swoją orze. Tramwaj. Stary problem. Nic tu nie pomoże. Urok wiersza poznasz nie tylko po rymie. „W-Z” chcę odwiedzić — i znikł mi gdzieś w dymie. Z radia podkpiwanie — temat to ograny. Żarówka szukałeś? — Czekaj na bociany.

Włodzimierz Scisłowski

Abecadło poznaskie

Artos raz do roku słynie z wesołości. „Barwa” pierze szybko — lecz dla potomności. Cnota niekoniecznie cechą jest niewiasty. Dziwak tylko szuka dziś brązowej pasty. Entuzjazm sportowy ceny wiele osób. Futro można kupić. Ale w jaki sposób. Groch z kapustą lubi rosnąć w Kwaterniku. Hotele są często powodem frasunku. Indeks dla studenta to producent trwogi. Jak dożyć — wstąpię w Okraglaka proggi. Kogut bez wigoru kury nie rozmarza. Lij mu! — Na zabawach krzyczą u „Drukarza”. Łeb mieć trzeba twardy i siłę — przed kinem. Mam wciąż premię w biurze — szef jest mym kuzy-nem.

Noże ze stołówką często są w kolidzi. Operę chcesz widzieć? — Czekaj telewizji. Pracować nie lubią wampy i pijacy. Rękaw jeden dłuższy — to „Wspólnota Pracy”. Satyra ugory drwiną swoją orze. Tramwaj. Stary problem. Nic tu nie pomoże. Urok wiersza poznasz nie tylko po rymie. „W-Z” chcę odwiedzić — i znikł mi gdzieś w dymie. Z radia podkpiwanie — temat to ograny. Żarówka szukałeś? — Czekaj na bociany.

pisano dawniej brąz, przez ON czy przez A z ogonkiem.

— Czy to nie wszystko jedno, Ernieście?

— Kolosalna różnica! Wiesz kartka jest udarta i brakuje nam...

Pani Klementyna wyjęła z kosza świstek papieru i rzekła beztrosko, wręczając go mężowi:

— Czy przypadkiem nie tego ci brakuje? Pytałem już raz, ale do ciebie mówię...

Konserwator rzucił się chwycić w świstek, poczym wygłosił dłuższy monolog: „To, to! Nadzwyczajnie! Kochana Klementyna! O to właśnie chodziło: Teraz utrąć nos temu Magisterkowi. Pasuje jak ulał. Zaraz się rozstrzygnie.” „Lować kazał w kolorze siwoliowym” Jak to? więc nie sinobrazowym? Raz, dwa, trzy, cztery... zgadza się, też sześć liter. Więc jednak nie lila-róż, jak malowali! Klemusia kochana, jak to zbiera meżusiovi świsteczki! Zaraz zadzwonimy. Inżynier Powolny? Suszarek, konserwator. Nie odesłał pan jeszcze malarzy? Jak to dobrze inżynierze Powolny. Mamy kolor! Tak. A widzi pan, z pietyzmem i szybko. Sinoliliowy! Na mur. Dobry kawal, co? Ha, ha, ha! Kolor rzeczywiście pójdzie na mur... Malować, oczywiście malować! Już, zaraz, prędko! Albo to nie jestem w komisji przyspieszenia odbudowy Ratusza!

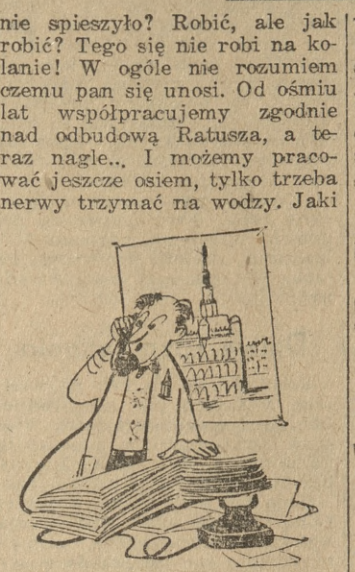
Pani Klementyna ogłądała przez ten czas bez zainteresowania uratowany przez siebie świstek. Teraz spytała:

— Ernieście, a czemu wy uparliście się, aby nasz Ratusz był wymalowany po włosku?

— Co ty wygadujesz za głupstwa, kochanie? — zaniepokoił się mąż. — Dlaczego po włosku? Co ci się znowu w głowie poplątało?

— Poplątało! Przecież ta kartka wyleciała mi rano przy sprzątaniu z książki pt. „Dawne Włochy”. O tej, tutaj na półce. Nie kazałeś mi przeszkadzać, więc położyłam ją na biurku, na twoich szpargałach. Teraz czytam co tu pisze na oddartym świstku, słuchaj: „...i budowlę tę zwaną PERŁĄ RENESANSU słusznie poczytują za najpiękniejszą w całej Florencji”.

Zygmunt Jaski



wacji. Posłuchajcie Magistrze! (Tu konserwator potrzęsnał szpargałem.) Książka z 1729 roku. A tu cała kartka o sali Półpiętrowej. Bezpośrednie źródło. Ale czy taki technik zrozumie? Przecież dotychczas opieraliśmy się na pośrednich opisach z roku 1742!

— Zdumiewające! To na tej kartce?

— Ostrożnie. Cała w strzępach. Zupełnie przypadkowo natrafiliem.

— To tak jak z moim odkryciem w roku 1948 — przypomniał Magister.

— Pamiętam, gdyby nie wy, popełnilibymy niewybaczalną nieścisłość. Chodziło o klamkę.

— Nie. O kołatkę.

— A tak, na zdjęciu był łeb salamandry...

— Nie. Smoka. Odwrócony w prawą stronę i tak też go wykonano.

— Tak, tak, a Magister dowiódł, że zdjęcie było fałszywie odbite, z odwróconego negatywu, doskonale pamiętam. I smoka wykonano po raz drugi z łebem na lewo. To było kapitalne! Ale już wówczas próbowano oponować ze strony konserwatorów przeciw przeróbce. Tylko czy wy się czasem nie mylicie? Czy to nie była przypadkiem głowa sfinksa?

— Nie. Na sfinksie zamieniliśmy w roku 1949, kiedy doszły nowe źródła.

— Pamiętam, pamiętam. A teraz czytaj Magister.

Magister włożył uroczystym ruchem okulary i zaczął czytać:

— „Wszelako po pożarze w roku... gwoździ należyte rekonstrukcji... całą salę Półpiętrową wymalować kazał w kolorze...” Co za pech, akurat tutaj urwana kartka!

— Ale spojrzycie Magistrze, przypatrzcie się tylko dobrze. „Wymalować kazał w kolorze” i tu widzę jeszcze dwie litery: S i I, czyli razem SI. Dalej urwane i znów litery... OWYM. A pośrodku miejsce na sześć liter. Obliczyłem z milimetrem w ręku. Więc jaka to może być barwa, co?

— Hm, trzeba by dokończyć rzeczoznawcę ze Związku Plastyków...

— To zrobimy swoim porządkiem, ale słuchaj Magister dalej. Ja stwierdzam, że to może być tylko barwa SINOBRAZOWA. „W kolorze sinobrazowym”. Co?

— Istotnie, wygląda na to... Ale zaraz, to niemożliwe. Bo wówczas musiałoby być miejsce na 7 liter, a nie na 6.

— Jakim sposobem?

— No policzcie: WOBRONZ, razem 7 liter.

— Co wy za głupstwo gadacie? Dlaczego brąz miało być pisane przez ON, a nie przez A? Co za wymysł?

— Zaden wymysł. A z ogonkiem przyjęło się dopiero od połowy XVIII wieku, a więc

znaczenie później. Mówi o tym słownik...

— Bredzi Magister. Widziałem druki z XVII wieku, gdzie brąz pisano już przez A z ogonkiem.

— Nonsens! Nigdy w to nie uwierzę. Tylko przez ON.

— Bzdura! Widocznie Magister nie ma pojęcia.

— Więc odwołajmy się do historyka literatury, profesora Dhubajko.

— Dobrze, odwołajmy się, dokończymy go do komisji jak tylko wróci do Poznania. Swojskie A z ogonkiem w brąz jest znacznie starszą formą niż obrzydliwe ON, które przyszło do nas z Niemiec!

— Nic podobnego. Prostackie A z ogonkiem w brąz, czy gdzie indziej, to o wiele późniejsze i — dodajmy — całkiem nieudane spolszczenie! Zresztą udowodni to profesor Dhubajko jak wróci za trzy miesiące. Żegnaj!

— Żegnaj! Wówczas ja panu udowodnię!

— Nic mi pan nie udowodni. Żegnaj!

— Żegnaj! A ja...

Konserwator przerwał w tym miejscu, bo nie było sensu mówić dłużej do nieobecnego. Więc tylko dał upust nagromadzonej złości przy pomocy donośnego okrzyku: „Ignorant! Arogant!”

Natychmiast drzwi uchyliły się i weszła z pogodnym uśmiechem pani Klementyna.

— Wołałeś mnie, Ernieście?

— Co za prostak! Wyobraź sobie, Klementyno, ten smarkacz chce mnie uczyć jak się

